

Kazimierz Świegocki
Kamień i czas



Kazimierz Świegocki

Kamień i czas
wiersze, poematy, eseje

Recenzje

prof. nadzw. dr hab. Antoni Czyż
prof. nadzw. dr hab. Grzegorz Majkowski

Projekt okładki

Joanna Niekraszewicz

Ilustracje

obrazy ceramiczne Bronisława Wolanina
fot. Wojciech Małkowicz

Redaktor prowadzący

Iwona Morawska

Korekta

Renata Frątczak, Magdalena Bodek

© Copyright by Kazimierz Świegocki

Łódź 2014

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-7405-622-9

Skład DTP

Monika Poradecka

Wersja demonstracyjna

dla uczestników konferencji

Wydawnictwo

Akademii Humanistyczno-Ekonomicznej w Łodzi

90-212 Łódź, ul. Sterlinga 26

tel./fax 426 315 908

wydawnictwo@ahelodz.pl

www.wydawnictwo.ahelodz.pl

*Wszystko (...) nie nasze jest, tylko czas należy
do nas.*

L.A. Seneka, z *Listu do Lucyliusza*

*Rodzaj przemija — i rodzaj się roi,
A niebo przecie aż na wieki stoi.*

S.H. Lubomirski, *Eklezjastes*



Od autora

Książka niniejsza składa się z dwóch rodzajów tekstów — poezji i esejów. I na pierwszy rzut oka może z tego powodu jej kompozycja wydawać się niespójna, nazbyt sztuczna, więc i nieusprawiedliwiona. Tak jednak nie jest. Drobne szkice, zatytułowane *Poeta wobec Tajemnicy, czyli o naturze poezji* mają charakter wypowiedzi programowych i stanowią w istocie manifest poezji metafizycznej. Pozostałe nie odnoszą się wprawdzie tak bezpośrednio do mojej twórczości poetyckiej, jednak mimo to są ściśle z nią związane. Wszystkie bowiem traktują o tych problemach, które przenikają zasadniczą część moich wierszy. Większość z nich powstała równie spontanicznie, jak powstawały utwory poetyckie. Pragnę je więc zaprezentować we wspólnej książce. I pragnę, aby była ona traktowana jako jedno dzieło mojej myśli i wyobraźni. Lektura tych esejów może bowiem wydatnie pomóc w głębszym rozumieniu różnych warstw znaczeniowych mojej poezji. Niektóre z tych esejów mają zresztą postać zbliżoną do filozoficznego poematu prozą, więc choćby i z tego względu wpisują się w obszar mojej sztuki poetyckiej eksplorującej problematykę metafizyczno-antropologiczną.

Książka została przygotowana w roku, na który przypadają moje siedemdziesiąte urodziny. Trudno mi, będąc w takim wieku, zakładać, że napiszę jeszcze jakieś istotne utwory poetyckie lub stworzę nowe myśli na temat poezji. Dlatego znalazł się w niej niemal cały mój dorobek poetycki. Wcale nie małą część objętości tomu stanowią utwory nigdzie wcześniej nie publikowane. Należą do nich niektóre eseje, wiele wierszy i prozy poetyckiej.

Jeśli tom ten ma mieć podsumowujący charakter i stanowić tym samym poetyckie dzieło mojego życia, przynajmniej dotychczasowego, to nie powinno w nim zabraknąć utworów nieco lżejszego kalibru intelektualnego niż ten, który cechuje zasadniczą część mojego dorobku. Na ten „lżejszy kaliber” (że posłużę się znany wyrażeniem Karola Irzykowskiego) składają się zarówno wiersze wczesne z lat 1957–1961, jak i niektóre późniejsze, które odbiegają swym charakterem (stylem, tonacją itp.) od utworów głównego

nurtu. Wiersze wczesne zgrupowałem w porządku chronologicznym ich powstawania, przyjmując rok 1961, czyli rok ukończenia osiemnastu lat, za cezurę oddzielającą je od pozostałych. Nieliczne z nich umieściłem w cyklach wierszy późniejszych, a to ze względów kompozycyjnych. Większość z nich była publikowana w tomiku *Przebiśniegi* w roku 1996. W niniejszym tomie ich zbiór zatytułowałem *Z wierszy wczesnych*. Natomiast pozostałym z „łżejszego kalibru” dałem zbiorowy tytuł: *Wiersze różne*. Pomieściłem tu także swoje nieliczne przekłady, a raczej parafrazy. Poważyłem się też na włączenie do tej części wierszy okolicznościowych — gatunku dziś wstydliwie pomijanego, a ongiś jakże ważnego w życiu kulturalnym naszych przodków.

Co się tyczy wierszy wczesnych, to ich stosunkowo duża liczba tutaj niech będzie usprawiedliwiona szczególnym do nich moim sentymentem. A to z tej przyczyny, że przywracają mi one na pamięć ten czas, gdy moje dzieciństwo przeobrażało się w wiek młodości. Był to burzliwy okres dojrzewania, gdy w mojej świadomości zrodziły się niemal te same problemy egzystencjalne, które nurtowały mnie całe życie, aż do dzisiejszego dnia. W ich wyniku powstała „poezja młodzieńczych zatrzwożeń i niepokojów, ale z dość głębokim zapleczem kulturowym”, jak to określił Ziemiowit Skibiński, poeta i krytyk, recenzując tomik *Przebiśniegi*. Wiele z tych utworów zresztą wzbudziło uznanie m.in. u rosyjskich tłumaczy mojej poezji. Jakoś nie razi mnie nawet zaznaczający się w wielu z nich przeważający dziewiętnastowieczny czy młodopolski styl. Widzę w nich przede wszystkim obrazy ziemi, nieba, pól, lasów i łąk — pejzaży często nadrealistycznie przedstawionych, które w pamięci przeobrażają się w świat mitycznego piękna utraconego na zawsze. Niekiedy odnoszę też wrażenie, że gdyby moje dzieciństwo i wczesna młodość nie upływały pośród wiejskiej przyrody i chłopskiego życia, nigdy nie stałbym się poetą. A jeśli już byłbym nim, to nie tylko całkiem innym, ale z pewnością dużo gorszym.

Mimo że tom ten ma w zasadzie charakter retrospektywny, to składające się nań utwory (poza juveniliami) nie zostały ułożone w chronologicznym porządku ich powstawania. Myślę, że to nie tylko nie ułatwiłoby wnikliwemu czytelnikowi głębszego ich zrozumienia, lecz — przeciwnie — utrudniłoby je. Dlatego dokona-

łem uporządkowania, biorąc pod uwagę takie ich cechy, o których można by powiedzieć, że wyznaczają swoistą morfologię ich sensu i problematyki. W moim przekonaniu powinno to pomóc w zorientowaniu się co do istoty przesłania tej poezji i uchwyceniu jej wewnętrznej typologii.

Nie muszę chyba specjalnie zaznaczać, że przygotowując ten tom, uznałem za stosowne dokonać pewnych poprawek stylistycznych. Młodość bogata bywa w pomysły. Wiek dojrzały w tym jej nie przewyższy, lecz góruje nad nią doświadczeniem, a zatem i warszatem. Niektóre utwory poetyckie mają podwójne, a nawet potrójne daty oddalone od siebie w czasie niekiedy o kilkadziesiąt lat. Oznacza to, że zdarzało mi się do tych wierszy wracać, gdyż dostrzegłem w nich jakąś niedoskonałość lub możliwość ich rozwinięcia, bądź korzystnej zmiany przekraczającej granice zwykłej kosmetyki literackiej.

Zdaję sobie doskonale sprawę z radykalnej chyba odmienności mojej poezji od tego, co obecnie za poezję uchodzi, dlatego wyrażę raz jeszcze nadzieję, że zamieszczone w drugiej części książki szkice o charakterze programowym (zwłaszcza *Poeta wobec Tajemnicy, czyli o naturze poezji*) pomogą lepiej zrozumieć moją postawę artystyczną i estetyczną.

Być może nie jest tylko złudzeniem mojej filozoficzno-estetycznej samoświadomości, lecz słusznym przekonaniem, że moja poezja przedstawia świat pęknięty i rozdarty. Rządzą nim sprzeczne żywioły i siły: ciało i dusza, Bóg i świat, czas i wieczność, trwanie i przemijanie, życie i śmierć. Wszystkie te antynomie mają swe ostateczne źródło w paradoksalności bytu ludzkiego, w jego szamotaninie pomiędzy skończonością swego empiryczno-materialnego trwania a nieskończonością Boga, która woła go i wzywa nieustannie do siebie, przypominając, że jest stworzony nie na zatracenie, lecz na Jego obraz i podobieństwo.

Jednakże droga do Boga wiedzie przez jądro ciemności. Dotykając owej ciemności raz można mieć poczucie świętej Tajemnicy, innym razem poczucie mdlącego absurdu. Mam nadzieję, że w mojej poezji nigdy absurd nie zastępuje tajemnicy.

Warszawa, listopad 2013 roku

*Tylko poważnie traktując czas, docieramy tam,
gdzie wszelki czas ustaje.*

Karl Jaspers, *Wprowadzenie do filozofii*

Przymierze z czasem



Więc czymże jestem?

Więc czymże jestem, z jakich idę krajów,
jake mnie drogi do kogo prowadzą?
Widzę, jak we mnie przeszłość wciąż powstaje,
kamień i światło o ciało się wadzą.

Czy jednak duszę czas także pochłonie
tak jak ocean mioceński rozgwiżdżę?

Przybyłem po to jedynie, by imię
swe wziąć od ziemi i rozbić o gwiazdy?

ok. 1968

Śniący się motylom

Prawie że zmyślony, śniący się motylom,
nieznany gwiazdom, niepotrzebny drzewom —
nie byłem i nie będę. Jestem może chwilą,
szyderstwem Lucyfera, Boga ciemnym śpiewem.

A jednak szukam rdzenia i pierwszego ziarna,
które, zanim powstałem, wpierw we mnie umarło.
Odwijam się jak rulon wypełniony pismem
i czytam swoje dzieje ryte w świętym słowie.
Ja — punkt nieskończoności, co na moment błysnął,
przez nieskończoność gasnę w ciemnej jak śmierć mowie.

ok. 1990

Cogito

*Dlaczego istnieje raczej coś niż nic?
Nic jest przecież prostsze i łatwiejsze niż coś.*

G. W. Leibniz, *Zasady natury i łaski*

Jeszcze nie było znaku ani światła,
wymiarów ciszy, ani ciszy przyczyn.
Na swą tożsamość nawinięte koła
drzemały. Święte trójkąty były niczym.
Punkt słońca jeszcze nigdzie nie przemierzał
gąszczy geometrii nieeuklidesowych.
Rzeczy nie było, lecz ich zaprzeczenia
tworzyły próżni obudowę.

I tylko było NIE ogromne całe
nad sobą, w sobie i z sobą pomiędzy,
i rośło wszędzie, wewnątrz się schylało,
rzedło, wietrzało coraz szerzej, prędzej.

Aż się rozpierzchnęło po sobie i zrzekło
jedynowładztwa do trwania w negacji;
aż zaprzeczyło sobie ogromnemu
sobą jedynym i sobą zniknionym.

I ze środka Nicości jak ze słów Niemego
wyszło Konieczne i szło po trójkątach.
Podeszło do mnie: jesteś alter ego.
Myślisz, więc jesteś. Czemu się uglądasz¹?

I zogniałem nagle po tych słowach.
Nie byłem. Jestem. Znów schylam się w nicość.
Słucham i słyszę: czy to duch Jehowy
do mnie przemawia, czy się we mnie śni coś?

¹ Uglądać (regionalizm) — szukać czegoś wzrokiem.

I oto widzę, jak rośnie Konieczne
i jak otwiera się środek Niemego.
Wiatr z gór Nicości wieje w moje wnętrze,
łamię się Drzewo Dobrego i Złego.

1967; 1984

Blues o Wielkim Ptaku

Dokąd mnie woła krzyk Wielkiego Ptaka,
co w szponach przenosi obłoki?

Po Wielkim Polu, sto mil od Księżycy,
w cieniu Wielkiego płynie Ziemia.

Dokąd mnie wiedzie lot Wielkiego Ptaka?

W oczach Wielkiego umierają gwiazdy,
giną lasy.

Co mówi do mnie wzrok Wielkiego Ptaka?

Widziałem, jak u powalonych gór
w szumie piór łany zbóż dojrzewają i nikną.

Dokąd mnie niesie cień Wielkiego Ptaka?

1966

Do nienarodzonej

*Zanim ukształtowałem cię w łonie matki,
znałem cię.*

Jer 1, 15

Jeszcze mieszkasz w świetle u Wieczornej Zorzy,
złotą chryzantemę jesień ci zapala,
nad próżnią dla ciebie pochylona matka
klęczy nabożnie, baśnie opowiada.

Zima ci rzeźbione zwozi srebra w darze,
trzej krukowie niosą mirrę, welon ślubny,
róże upina paw błękitnooki
w chłodzie Gangesu u indyjskich magów.

Wszystko jest dla ciebie — każdy pająk złoty,
każdy szczegół świata w zmienności i trwaniu,
pałac z kwiatów woni, świątynne ogrody,
gdzie Drzewo Rodzaju pije wieczną wodę.

Księżycyca wierzchem jedzie narzeczony —
do ciebie Królowo z Kraju Możliwości.
Nie kryj się przeto w rozlewiskach luster,
nie ujdiesz życia, jak nie ujdiesz cienia.
Masz różę-berło, w drugą rękę sowę,
ślubną wiązanekę i męża z kamienia.

Znaj, co Konieczność nakazuje królom,
a co pająkom, co zaś krnąbrnym lasom.
Panować musi nad sobą, kto z Panem
bywał tak możliwym w Kraju Możliwości.

Jeszcze w zwojach światła schowana u Słońca,
jeszcze nie ma ciebie. A już wieczorami
płaczesz w mrok sypialni i widzisz, jak z próżni
był twój się rodzi i ludzki bierze kształt.

1966

Koło

Ten ogień, co mnie trawi, ze mnie wziął początek.
Kto więc po mnie go przejmie, gdy będę umierał
i dróg mych krzywe biegi zatrzasną się w koło,
by zaokrąglić dzieje aż do zera?

Jeżeli ogień ze mnie, to jestem początkiem,
jeżeli zaś do mnie — jestem też granicą.
Czy nigdy ze swych brzegów wystąpić nie zdołam?
A koło co mnie toczy, nie jestże spiralą?

Kiedy ogień strawi moje wszystkie drogi
i już gwiazd nikt nie będzie po mnie umiał zdmuchnąć,
Bóg oczom wtedy zniknie, a ja w pustce po nim
zostawię swe ognisko, niech się próżnia stopi.

Gdy nadejdzie czas końca, odemkną się koła
i wszystko, co zawarte, będzie otworzone.
Kto wtedy wzrok mi odda, kto zawróci Boga,
który skacząc po górach odchodził mnie co dzień?
I kto me ciało zmieni w jego święty ogień?

1966

Wiatr od Boga

Kiedy Wielki Ptak
zatrzepotał we mnie
skrzydłami chmur,
popłynął śnieg
przez puste żył arterie.

Rosłem gwiazdą i zorzą polarną,
a myśli mych lodowe góry
kruszył w morze
Północny Duch
jak złe ziarna.

Wysoko moja krew
płynęła ciemnym niebem
wołając: wyjdź
wędrowcze nad swe brzegi.
Woła cię bowiem Wielki Ptak
na niewiadomy połów,
a światło zgasłych ciał
do biesiadnego wzywa stołu.

Uniosłem się na skrzydłach chmur,
gdzie księżyc bezszelestnie
pił rogiem nowiu
moją krew,
a Bóg był we śnie.

Dotknąłem więc Bożego snu
jak ziemi zbawczej —
stoczyła gwiazda się w mój słuch
ogromnym płaczem.

I rozumiałem: Bóg mnie śni,
ja rosnę na snu jego glebie;
gwiazda we mnie się toczy i grzmi,
wiatr od Boga mi serce kolebie.

1967; 1984

Przed lustrem

Lustro ciebie przekroi na rzecz i odbicie,
wypłyną na powierzchnię jak oliwa grzechy
i siebie błagać będziesz o litość nad sobą.
Cień nawet cię opuści w tę godzinę sądu.

Wówczas staniesz jak słońce bez własnego cienia
oparty o spojrzenie kosmicznego oka,
gwiazda losu ci spadnie w naczynie sumienia,
a cisza palec Boży położy na ustach.

3 lipca 1962

Ciało

*Nędzny ja człowiek!
Któż mnie wybawi z tego ciała śmierci?*

Rz 7, 24

A jednak, ciało, tyś jest mięszem rzeczy.
W tobie sensu dochodzi sól, pszenica, woda;
ciemny wiatr krew prowadzi wąwozami tętnic
tam, gdzie gwiazda się pali nad słońca zachodem.

Ty jesteś, ciało, ziemią obiecaną
idącą kołem w ślad za naszym głodem.
Kto głód zrozumie, temu zapisano
całą tę ziemię w nagrodę.

A kto zrozumie wiatr w wąwozach tętnic
idący tchnieniem krwi, i kto krew pojmie,
temu ziemia w modlitwie i obłędzie
objawi się jak mit
i Boga dziwna przypowieść.

I weźmie ziemi garść — swe ciało — w drżące dłonie
i będzie niósł jak najcenniejszą z rzeczy
tam, gdzie Wielki Ogień je pochłonie
i rozsądzi archanioła mieczem.

1964; 1975

Rzeczy

*Nawet te najniższe rzeczy wyrosły nade mnie,
osaczały mnie i dusiły.*

św. Augustyn, Con.VII, 7

Stół mnie wysłuchał — znieruchomiał,
nie poddał się i w drewnie utknął.
Tylko podłoga szła do góry
nieustępliwie jak gorączka.

Nad głową jeszcze wisiał sufit
w oczekiwaniu znaku,
aż ściany w czworo się ścisnęły
i świat się zamknął.

I byłem w samym rdzeniu rzeczy —
rzecz odrębna.
Stół się mnie wyparł, sufit przeczył.
Mowo wierna!

Aż rozgwarzyły się żywioły
i nade mną
stanęły naraz wszystkie stoły
drewna pełne.

I byłem sam jak żywioł ten,
którego ciało,
nie mogąc w własnych brzegach trwać,
na świat wylało.

I powstał w świecie wielki zamęt,
i rzeczy ostateczny krzyk,
bo ja jak Bóg w ten świat wrastałem,
a on mi z oczu nikł.

1966; 1976

Matka

Kiedy umieram nocą,
opuszczają mnie nawet ściany,
a wtedy przychodzi to straszne
niewidzialne zwierzę
i milczy nad moją głową
jak Sfinks.

Kiedy umieram nocą,
jest obok mnie bezsilny Wielki Bóg
i płonie stos wszechświata
w ognisku mojej krwi.

Kiedy umieram nocą,
przychodzi do mnie matka,
dotyka mojego czoła
i mówi: wstań,
w tym pokoju bez ścian, bez dna
mógłbyś umrzeć.

21 stycznia 1967

Zagłada i pokuta

Spokój jak morze we mnie wchodzi,
lecz spokój to umarłych gwiazd,
który już światła nie urodzi
i nie zatrzyma morskich fal,
gdy idą głucho z zatok martwych
do wysp, gdzie Ziemia Nowa
i Nowe Niebo rozpostarte
nad głębinami Słowa.

W śnie to widziałem. A na jawie
deszcz ciemny we mnie zaczął padać
i mgła wstawiała coraz gęstsza.
Od gwiazdy Piołun głos zagłady
pokutę rodził i w niej wietrzył.

1984; 1994

Nadzieja

Myślałem zawsze — rozwieje mgły
czas i wiatr i nadzieja.

Lecz wiatr porwała mi zawieja,
czas we mnie zогromniał w krzyk.

Zostałem sam we mgle z nadzieją —
świat jak cień z niej wyrastał i nikł.

18 lipca 1962

Spotkanie z rzeką

Rzuciałem w oczy rzeczutki
rudy syczący piach,
a rzeczutka odpowiadała milczeniem.
Wtedy zawstydzony opuściłem
wzniesioną lekkomyślnie dłoń
i ujrzałem się w jej lustrze cieniem.

Woda szemrała coraz ciszej
i coś mówił do mnie jej piaszczysty brzeg,
tak jak mówią uśpione klawisze,
gdy je ze snu zbudzi błogiego
niepojęty pianisty lęk.

Nie pojawił się rzeki milczenia,
ani tego, co powiedział brzeg,
poczułem się jak cień swego cienia,
co na lustrze rzeczutki legł.

9 lutego 1959; 21 sierpnia 2013

Pokora

Rozdałem miłość zawiedzionym,
oddałem nasyconym nędzę,
gdybym posiadał bogactwa spokoju,
obdarzyłbym nimi szalonych.

Nic mi dla siebie nie zostało
miłości, nędzy, ni bogactwa.
Co nie rozdałem, to przewiało,
a co posiałem, to nie wzrasta.

I tak ubywam, tak się zmniejszam
co dnia i co wieczora.
Słońce we mnie otwiera pejzaż
milczenia i pokory.

16 lipca 1962; 1983

Czasami wiatr

Czasami wiatr przeciągnie powierzchnię moich wód
i pozostawi ślad niewymówionych słów
jak dar obiecany w śnie proroczym
i jak ogromny światła głód
tych, co się w lęku budzą o północy
i nie poznają swych braci i sióstr.

1960; 1984

Rozmowa z samym sobą

Gdy mówię słowo, ty mi rzecz ukrywasz,
gdy patrzę w rzeczy, ty słowa mi kradniesz;
kiedy chłonę życie, ty śmierć mi podsuwasz,
gdy o śmierci myślę, błogosławisz życie.

W każdej mej cząstce tyś jest antycząstką.
Gdy ja jestem krzykiem, tyś milczeniem krzyku;
odchodzę od siebie, ty we mnie wstępujesz.

Zawsze się mijamy jak dno ze strumieniem,
scalimy się w jedność
— kiedy nas nie będzie.

28 czerwca 1962

Wołanie jesieni

To śpiewa czas, czy ptak się budzi ze snu?
Ten wiatr od gwiazd, czy od zziębniętych astrów?
Ten śpiew to świat twój zapodziany w czasie,
a wiatr roztrwania czas jak pieśni ptasie.

Cóż przeto jest, że jesień tak nas woła
na tamten brzeg, gdzie nawet światła nie ma?
A kto by to wołanie pojąć zdołał,
nie wróci już, zawieje go milczenie.

1970

Mowa

Któż pojąć umie mowę?

J. Zonszajn

Jakże tu dowieść swojej tożsamości?
Któż imię dał ci i co ono znaczy?
Modliłeś się do ściany, lecz popatrz — zniknęła.
A już za tobą idzie śniegu dzwon.

Wieczorem słowa rosną jak zbielełe włosy,
przynoszą mowę nie do wiary ciemną,
odbijają nas w sobie i z sobą unoszą
to wszystko, co na trwoni i zostaje w znaku.

Aż stajemy się w końcu najczystszy istnieniem
niepodzielną na słowa ostateczną prawdą.

1962

Cisza

Oto mnie w dłonie biorą Niewidzialni,
unoszą lekko na wierzchołki ciszy.
Przed moim okiem płonie biało dal, i
tylko Boga nie słyszeć.

Dotykam miejsca, gdzie zbiera się przeszłość,
łasi się do mnie rzecz nieistniejąca,
po której nie ma śladu ni zapachu,
jak w Kraju Cieni obecności słońca.

I nikt nie mówi do mnie, nikt nie woła,
nikt o przyczynę i cel nie zapyta.
Tylko na ciszy wierzchołkach
wiatr drzewom Genesis czyta.

1964; 1986

Przymierze z czasem

On rzeką we mnie, a ja w nim brzegami.
Idziemy wiecznie na śmierć i na jedność,
brzegi się schodzą, my się oddalamy.

A kiedy już mój stos ciała zapłonie
na górze ciszy, w ziemi Abrahama,
czas mnie uniesie w swoich czułych dłoniach
tam, gdzie wciąż bije godzina ta sama
ziemi i niebu jadącemu kołem.

1966; 1984

Głos

Pod słońcem nic się nie powtarza,
wszystko już było, nic nie będzie;
co jest — przypadkiem się wydarza
w majestatycznym świata błędzie.

Przez wiatr i ciszę pod gwiazdami,
gdzie Boga nie ma, tylko ślady
prastarych czasów zapomnianych,
głos idzie do nas — głos zagłady.

Słysząc jak człowiek wchodzi w kamień,
jak kamień w wodę spada.
Woda otwiera się i łamie
ostatni promień światła.

ok. 1983

Dom i świat

Co rok wyjeżdżam z Ziemią w podróż
na wiosnę, lato, jesień.
Powracam zimą pod dach włosów,
gdzie śnieg myśl białą niesie.

I kołowrotem wielkich przemian
świat we mnie jak do domu wchodzi.
Płodowe wody żywią ziemię,
a ziemia wciąż mnie rodzi.

ok. 1974

Oaza

Przychodzimy do tych źródeł,
gdzie spalonych ludzi kości,
dzbany warg swych wychylamy
i dzwoniemy w nieba puste.

Wody nie ma, w ziarnkach piasku
chude ptaszki dziobki moczą.

Odchodzimy, zamykamy
nasze wnętrza zakurzone.
Kto nas znajdzie, kto oczyści?

Wiatr zatrąbił na pieszczelu,
wąż ze skały w naszą stronę
zsyła tajemnicze znaki.

Wody nie ma, tylko serce
bije głucho jak ocean.

1966

Ta gwiazda

Ta gwiazda do mnie przez eteru
zawiane drogi jak dzwon leci.
Wymawia siedem moich imion
nad wodą Mórz Stuleci.

A gdy się Morze Wielkich Wiatrów
do jej zimnego zbliży cienia,
we mnie się rodzi martwe światło
i w drewno się zamieniam.

Lecz jaki śpiew mnie stąd wywoła
i jaka gwiazda ze snu wskrzesi,
bym nad ziemią wzniosł się jak chorał
i powrócił białym ptakiem leśnym?

O, bo nie dla nas gwiazdy, eter,
tylko wołanie bezgraniczne,
co budzi nas jak flety wiosny
i ginie jak jesienne liście.

1965

Wielki wąż

Ta róża, w której płonę,
która we mnie płonie,
ta róża wszystkich róż,
wielki pożar świata
i wszystkich znaków znak.

Na dnie zapachu róży
leży zabita gwiazda,
obok zwinięty wąż z mieczem języka,
po którego krawędziach
biegnie bogini światła.
Nagle
miecz się urywa,
bogini spada w ciemność
i jaśniej.

Gęsty wiatr
idzie wolno
brzegami płatków
w wielki pożar świata,
idzie wiatr od umarłej gwiazdy.

Zasypia róża,
w której płonę.
Nad światem Wąż
śni wielkim płaczem sen.
Ziemia się rodzi ze śmierci gwiazd
i idzie na wygnanie.
Z ciemności miecz
patrzy na mnie światłem
jak spopieląły wąż

1969

Leśne mieszkanie

Hen, gdzieś za żółtym grzbietem wydm
modrzew ptakowi miłość szeptał
a słońce gasło w okiennicach,
ze ścian żywica ciurkiem ciekła.

Wieczorem kwiatów leśnych rój
wyciąga do mnie tysiąc ramion.

I gasną kwiaty, po nich dym
w kielichach czarnych się kolebie.

O, wilczy duchu w głębiach puszczy,
co w zimnych kościach chowasz strach,
pokaż się stroną niewidzialną,
powiedz, gdzie odszedł nocny wiatr.

1967

Nokturn

Co noc mnie wołasz z głębi ciszy,
wędrowcze ciemnych puszczy, wądołów,
natchniony piewco chwały leśnej,
na niewiadomy połów.

Więc idę boso przez te pola,
gdzie ludzie przeszli wiek przede mną,
ogniska jeszcze gorą po nich,
wiatr spycha w ciemność.

I tak zapadam krok po kroku
po przestrach zasłuchany w śpiew twój.
Wędrowcze niemy, imię powiedz
i ześlij na mnie pokój.

I nie krzycz pawiem po bezdrożach,
nie zsyłaj śpiewów wilczych.
Ale wskaż ziemię pełną zboża,
dolinę błogich milczeń.

Wyjdź na skraj puszczy z wnętrza mroku
pitagorejskim śpiewem.
Wędrowcze niemy, twe wyroki
z jakiego idą gniewu?

21 stycznia 1967

Apokalipsa

Łaska przychodzi i odchodzi

Tomasz á Kempis

Księgi mówią,
że łaska przychodzi i odchodzi,
a Bóg nie zapomina o swoich synach.

Ja zaś ci powiadam synu tej Równiny,
że to wiatr siada na twoim sercu
jak zły ptak na gałęzi jodły,
kołysze je aż do najgłębszego lęku,
a kiedy masz umierać,
odlatuje
i cisza rodzi się na pustce po nim.

Bo łaska przychodzi i odchodzi
jak fale dalekich chorałów
w jesienny wieczór,
kiedy zamyślony słuchasz
szumu ognia w kominku
i ponad samotnością
słyszysz
głos posłańca
z tamtej strony Wielkiego Płomienia:

Apokalipsa jest już w was,
chude konie się pasą
na pożółkłych łąkach Równiny,
drzemią jeszcze znużeni jeźdźcy
i przez sen pchają nocą
ognisty wóz.

ok. 1977

Aryman

Daj mi poznać Pana, który uleczy istnienie.

Zaratustra, *Jasna*, 44, 16

Aryman jest Bogiem Ciemności,
okiem cyklonów i śmierci.
Czuję go sercem wołającym do gwiazd,
sercem błagającym o rytm i tlen.
Aryman jest rzeczą wszystkich rzeczy,
które we mnie są,
a które nie są światłem,
ani nie są solą,
ani nie są mną.

Poza granicą mowy
i granicą milczenia,
gdzie wygasa sens wszystkich dróg,
gdzie koniec jest początkiem,
więc nie ma początku,
gdzie początek końcem,
więc i końca nie ma,
jest On —
Zły Bóg,
Alfa i Omega bezdomności,
fosforyzujący śmierci blask.

Najlepiej o nim wiem nocą,
kiedy przykładam głowę do ciemności
i słyszę w głębi nieskończony szum,
co idzie od podziemnych wód,
przez które jakby On przechodził
i moje ciało z sobą niósł.

A gdy je kładzie w puchu cieni,
to znów z dna słyszę:
on mnie pozdrawia grozą ziemi,
od której w proch się słowo sypie.

ok. 1975

Potępiońy

Ja — Wąż pod czarną śpię paprocią
w węglowym gaju, w ciemnym czasie.
W mą czaszkę puka ptak północą
i świat mi w oczach gaśnie.

W przeciągach moich snów
gwiazdy wzlatują i milkną.
A wiatr od zapomnianych gór
niesie drzewa szum — mowę wilczą.

Las przemija nade mną węglowy,
w białą zamieć lecą złote sarny.
Śnieg się zrywa ze szczytu mej głowy,
a Bóg światło i pamięć zagarnia.

ok. 1968

Nicość

*Gdyby nawet wszechświat go zmiążdżył,
człowiek byłby i tak czymś szlachetniejszym niż to,
co go zabija, ponieważ wie, że umiera,
i zna przewagę, którą wszechświat ma nad nim.*

B. Pascal

Nicość jest matką zwątpienia
w sens wszystkich dróg,
ciemnością początku i końca.

Cóż o mnie wie
ta macocha istnienia?
Ale ja o niej wiem.
I to jest straszne.
Bo nieprawda, jakoby
to było siłą
i wyższością.

Niekiedy noc mi ją objawia,
gdy czuję przepaść
przez otwarte okno.
A czasem w biały dzień
widzę, jak znika
przedmiot za przedmiotem
w głębokościach mojego patrzenia.

Wiecznie oczekuję od niej
słowa
lub choćby jakiegoś znaku,
ale ona jest ciemność
i wszystko, co od niej pochodzi,
jest ciemnością.

Nic nie twierdzi,
Nic nie zaprzecza,
trwa tylko i pochłania mnie.
A ja mu oddaję i oddaję
swój niewiadomy lęk.

ok. 1986

I tak powstaje świat

I tak powstaje świat
z miłowania i gniewu
ziarno pożera ziarno,
ziemia rodzi, zabiera.

Światło zapładnia ciemność,
ciemność wyłania człowieka,
człowiek się z ziemią jedna
jak deszcz, jak z morzem rzeka.

Morze jest nieruchome,
pełne Boga po brzegi
stoi pod strażą komet —
gwiazd Alfa i Omega.

1967

Starość

Profesorowi Zbigniewowi Lisowskiemu

Osiwiały od starości człowiek
zastukał laską w skałę,
ale z żył kamieni nie trysnęła
życiodajna woda,
tylko głucho zadudniło wnętrze.

Więc odszedł człowiek
w wąwozy swojego pragnienia,
śnił jak góra w wodę się przemienia
i w naczynia dolin
nadmiar swój wylewa.

Uniósł dłonie
w modlitwie nad skałą,
słyszał jak w górach
kaskadą zagrzmiało.

Wchodził w grzmot wody
jak w czas narodzenia.
Powracał stamtąd
jak z suszy milczenia.

Odtąd w człowieku nastąpiła
nieprzyjaźń pragnienia i skały.
Wreszcie duch opuścił to ciało,
w którym oprócz głodu
nic się nie spełniało.

1965; 1983

Żale umierającego

*Już stękam, już mi umrzeci,
dusza nie wie, gdzie się dzieci.
Ciało moje już na dwoje
pękło i świeci.
A tu niebo tak daleko...
duszo, duszo, gdzie cię wleką,
Kyrie elejson!*

Straszno w polu, straszno w chacie,
trumna stoi, ludzie płaczą,
dzwony biją, ćmy się rodzą,
gasną światła. Boso wchodzę
do przybytku Boga mego.
Świecami mnie przypiekają,
grzechy ogniem wypalają,
dusza krzyczy wniebogłos,
straszny będzie, straszny los.

Wyszła naga dusza ze mnie,
szuka Boga nadaremnie.
Ciemno w niebie, ciemno w chacie,
wiatr na dachu w kółko skacze.
Popłoszyły się gołębie,
wiatr na dachu, Bóg na dębie.
A od boru idzie świst,
tam, gdzie anioł odszedł jest.

1966

Mój Bóg

Mój Bóg pojawia się wtedy,
gdy idzie do mnie śmierć i nocą
nie mam do czego przytulić
swego lęku.

On mnie ucisza i upewnia,
że jeszcze dziś miasto nie pofrunie w powietrze
jak stado skamieniałych ptaków
i ziemia nie rozstąpi się
pod uderzeniami moich stóp.

Mój Bóg uśmiecha się, gdy zmarłym
zamyka powieki i mówi:
oni śpią tylko, oni najszcześniejsi.
Nie bój się, chłopcze, nie bój,
jeszcze dziś, jeszcze jutro,
potem się będziesz dziwił tylko
swym niewiadomym lękom.

styczeń 1962

Piosenka samotnego starca

Profesorowi Zenonowi Łodyńskiemu

Dni nasze chylą się w upadku,
ty już umarłaś, ja umieram.
I pamięć umrze na ostatku
jak w pył strzepnięta czasu era.

Gdzie miłość nasza i gdzie zapał,
cośmy synowi jak chleb dali?
Syn się w czeluściach świata zapadł,
chleb się w miłości spalił.

Minęła jesień, minie zima,
ziemia się kruszy, mija życie,
tylko od syna wieści nie ma,
gdy w płaczu budzę się o świcie.

Tkwią w samotności nieruchomo
od lat, gdzie nie ma już nikogo.
I nie mam smutku oddać komu
tak, jak się czynsz oddaje Bogu.

1995

Do zmarłego przyjaciela

Pamięci poety Feliksa Rajczaka

W podbiegunowys zaszedł krąg,
gdzie wszystko trwa w półcieniach,
gdzie nawet gwiazdy, jeśli są,
to są pół światłem, pół wspomnieniem.

W śnieg się obraca każda rzecz
i świat się staje bielą.
Tu nie ma drogi wprzód ni wstecz
poza ostatnią sferą.

Zamknięte koło. Ucichł czas.
Bóg jeszcze się nie zjawił.
Żywi szukają go wśród gwiazd.
Ty — wielki swoją śmiercią — spraw,
by ktoś te gwiazdy zbawił.

Ty cichy tak jak siewca traw,
które nad ciałem jego wzeszły,
ucisz i oświeć nas choć w snach,
w co się obraca przeszłość.

Bo twoja postać przecież trwa,
choć nigdzie cię tu nie ma.
Słyszę twój głos, odczuwam wzrok
i czekam oświecenia.

1987; 1992

Nad Baczyńskim

Odszedłeś, jak odchodzą ptaki,
gdy pan ich pieśni mówi: dość,
przerwać śpiew i do Itaki
wracać do gniazd na Wielki Sen!

A nas tu kto ocali w słowach,
które są krzywdzie, bólowi miłość?
I odchodzącym stąd kto powie,
że ziemia grzechy tylko śniła?

Słowo jest czynu testamentem,
kto czuł karabin w dłoni — ten
i krzyż, i śmierć już zapamięta,
choć nie wie, miłość czym, czym gniew.

Twa śmierć jak czas niedotykalna
powiększa nas o pamięć gór.
Ludzie mijają w nienawiści
jak szelest czarnych ptasich piór.

1968

Wiara i nadzieja

Wiara i nieskończona nadzieja
mieszka w ślinie ptaków,
sklejającej źdźbła słomy
w misterny owal gniazd
otwartych na deszcz
i złowieszcze spojrzenia drapieźnych.

Czyja miłość podejmie tę nadzieję
i zatrzyma nią ulatujące światło?
Czyja myśl uniesie tę wiarę
na wysokość Boga?

Czyje serce wybije do końca rytm
nieskończonej Równiny,
po której biegiesz
brzegami linii papilarnych,
nasłuchując wodnego ptactwa,
co starą mądrość ziemi
składa u źródeł rzek
i dzień po dniu roznosi
coraz smutniejszą wieść —
ten tajemniczy szyfr, który
źdźbła trawy odczytują
jako pieśń o radosnym wzrastaniu,
a wody rzek rozlanych szeroko
po drugiej stronie twego cienia
chłoną jak drogocenny lęk?

Nadzieja jest jak chleb,
jak światło czystych wód,
jak ciemna wiara
i jak ta cisza jest,
która poprzedza i zamyka
wybuch ogromnej muzyki

otwierającej bezchmurny pejzaż,
gdzie skowronki
nic nie wiedzące o tobie
składają Bogu ziarna swej pieśni —
niestrudzony owoc codziennej pracy
przerabiającej grudy ziemi
w szlachetny metal śpiewu.

Bóg do ciebie przychodzi i odchodzi
i przemienia cię czasem w skowronka —
budowniczego gniazd z owalu i słomy.
A niekiedy jesteś tylko pieśnią
do dawno ułożonych słów,
Alfą i Omegą w księdze ulotności,
której na imię: WIATR.

ok. 1985

Gdy smutne drzewo

Gdy smutne drzewo w modlitwie o deszcz
wznosi do nieba konary,
w odwiecznych wodach śpiewa ryba-wieszcz,
las jest świątynią wiary.

Woda i susza — dwa święte żywioły
biorą nas w swoje władanie.
Skruszeni suszą, namaszczeni wodą
do Ciebie wnosimy się Panie

1961; 1996

Ikona I

Niewiasto z bizantyjskich ikon,
kto cię skazał na to wieczne macierzyństwo?

Wywiedli cię z niczego,
z tego krzyku, co krwią po pędzlu spłynął.

A przedtem była biel i wypełniała świat.
Z bieli zrodziła się miłość.

Muzyka coraz cichsza,
ustaje zupełnie.
I suknia już czarniejsza,
i zachodzą oczy,
i znowu biel powraca tak jak na początku.

Syneczku, tyś coś mówił,
czy to wiatr szeleści?

1966

Ikona II

Panno z ikon bizantyjskich,
kto Cię skazał marnym pędzlem
na to wieczne macierzyństwo?

Tak ze smutku Cię wywiedli
miast z radości.
Lecz Ty idziesz z Bożej Pełni
do nas w Kościół.

Brat Teofan tak Cię z Synem
wywiódł z bieli,
jak Bóg z Nilu świętą gminę
Izraela.

I odsłonił samo w sobie
piękno Boże,
które żywi się miłością
w pokorze.

Ty spojrzeniem grzech uciszasz
jak Bóg chaos.
Ty uświęcasz ciałem Mistrza
nasze ciało.

Muzyką czulszą od miłości
światło przenika Twoje oczy —
Bóg przez nie idzie do nas w gości —
serce człowieka, odpocznij!

1993

Modlitwa I

Do ciebie, Smugo Światła, wyostrzyłem dłonie,
a ty mi się oddalasz i cień na mnie rzucasz.
Nocami w śnieżnych zorzach i w krwi mojej płoniesz;
gdy noc mi wzrok przerzedza, mym drzewom się ukaż.

Dla ciebie, Smugo Światła, zmieniam się w sokoła,
dla ciebie w górę idę sęk po sęku.
Imię twoje już chmury niosą w tęczy kołach,
a ja we śnie cię szukam, w szaleństwie i lęku.

Odkąd we mnie kruk chorał podnosi co wieczór,
w błysku gwiazd się wytaczasz nadzieją z mych przeczuć.
I jak grom płyniesz pełna niepojętej mowy
nad ziemią obiecaną milczenia i słowa.

1963

Modlitwa II

Słyszysz? — ja zmierzcham. Niechaj z ciebie światło
na twarz mi spłynie. Przybądź na mój wieczór.
Od stóp zanikam i dłonie mi rzedną,
kość pustoszeje, dając miejsce echu.

Gwiazdy wchłonęły mój śpiew i pogasty.
Z próżni pomiędzy ciszą a muzyką
wiatry wychodzą czesać moje włosy.
I zimne światło rośnie pod powieką.

Więc nie opuszczaj mnie, gdy idę w rzeczy,
kiedy odejdiesz, będzie wielki głód.

A jeśli czas jest tylko ogniem Słowa
i jeśli Słowo jak woda czas gasi,
przeto mi czasu tak jak wody podaj.

W krainę moją już nadciąga śnieg.

1964

Medytacja o śnie i wodzie

*Nad wodą wielką i czystą
Stały rzędami opoki*

Adam Mickiewicz

Rzece się ryby wciąż śnią i drzewa,
co przed wiekami odeszły.
Rybam i drzewom — chmury, co na dno
poszły i nie wróciły.

Rzeka śni wiecznie swój sen o wodzie
czystej i wielkiej jak Wszystko.

Nad wodą wielką ludzie przechodzą
i żal składają do wody.
Nad wodą czystą przechodzą wiatry
i żal porasta trzcina.

Ludzie, ludzie, nie płaczcie na wiatr!
Wszak minie rzeka, jak minęły drzewa,
zostanie sen po rzece.
Przez czas i wodę popłyną cienie,
na które nikt nie czeka.

Czestków, 5 czerwca 1962

Powrót do koła

Wrócić do ciebie i w twym cieniu
zamieszkać dobroczynnym — koło,
to tak jak matki mleko ssać
i ciszę domu.

Powrócić deszczem w obieg wody
i wody niestałość —
to światłem nalać wzroku smukły dzban
po mądrość ciemną.

O, bo do blasków ziemi droga
przez ciemne sny prowadzi;
truchleje śmiałkom słuch,
by w niesłyszalną idąc przestrzeń
nie zlekli się odgłosu stóp,
ni kropel deszczu.

Niech przeto w smutną mądrość lat
krew i sól niosą,
gdzie dobroć światła błyszczy blado
dojrzałym kłosem.

O, bo nie z tego świata głos
jest głosem gwiazdy i harmonii;
bo nie wiesz idąc głucho w los,
skąd mądrość koła dzwoni.

ok. 1970

Drzewo Życia

Z Drzewa Życia zygzakiem ironii
Wąż się zsunął, u stóp mi skamieniał.
Poprzez pusty ogród na mnie dzwoni
głos nieznany i woła z imienia:

Podejdz bliżej, uczynię cię bogiem,
będziesz w ziemię tę wrastał jak drzewo,
sad ten cały ci będzie ochłodą,
wąż kamienny pieśń ci będzie śpiewał.

I głos odszedł, a ja pozostałem
sam na sam z Drzewem Życia w ogrodzie.
Wąż się wznosi nad jego konarem,
śpiewem węża napełniam się co dzień.

A gdy nocą pieśń węża przybiera
i głód ciągnie zamiast rannej rosy,
Drzewo Życia swe żyły otwiera,
a ja piję z nich Boga niedosyt.

1969; 1993; 1994

Człowiek

Człowiek nie umiera, to mijają miasta,
w modlitwie dzwonów wsiąkając do ziemi.
Ziemia śmiertelna — z Bożych snów wyrasta,
jak cień pod słońcem w ciszę się przemienia.

Człowiek nie umiera, umierają morza,
ostatnia gwiazda zanika w przestworzach
i nawet przestwór w nicość się obraca.

A człowiek czeka, kiedy czasu praca
dokończy dzieła — czas w byt się przemieni,
koło się zamknie i ponad człowiekiem
Bóg stanie światłem i zgasi w nim cienie.

1966; 2014

Ad Deum absconditum

*A światłość świeci w ciemności, lecz ciemność jej
nie przemogła.*

J 1,5

*Mądrość Stwórcy niczego nie czyni bez harmonii
i bez racji.*

*G.W. Leibniz, Nowe rozważania
dotyczące rozumu ludzkiego*

Od wody wieje wiatr, nalewa
samotność we mnie noc i dzień,
i upodabnam się do drzewa,
które w zimowy idzie sen.

Dla ciszy ciało swe otwieram.
Ty jeden, ciemny Boże, wiesz,
że jeśli ciało gdzieś umiera,
to cisza w Tobie rodzi dreszcz.

I wchodzisz we mnie owym dreszczem —
mój lęk dla Ciebie bramą.
I nie wiem, Boże, jak Cię zmieszczę,
a wiatr i śnieg już idą za mną.

Nad ciemną ziemią wschodzisz smugą,
gdzie serce moje Cię zasiało.
Ja — wód głębokich, wiatrów sługa
w Twe światło niosę ciało.

Przygaśnij nieco, zmień się w drzewo,
stań się na chwilę wiatrem.
Słyszysz, jak ciało moje śpiewa
u wrót Twych, Mundi Pater?

I co uczynisz z nim Świetlisty,
gdy wniosę je w Twój ogień?
Czy z martwej ciszy je oczyścisz,
czy rzucisz je odłogiem?
Cokolwiek, Boże, z nim uczynisz,
cokolwiek mu się zdarzy,
w Twoim jest ręką świata Finisz,
wszystko odbiciem Twojej twarzy.

Więc nic nie zginie, nawet gdy
obróciłbyś je w nicość,
bo nicość także Twoja jest,
jak Twój jest byt i czas, i litość.
Nie mogę przeto nawet ciała
utracić, bo nie moje.

W Twym dobroczynnym cieniu z ognia
nawet nicości swej nie stracę.
Bo nicość pije byt Twój do dna
i w światło się obraca.

Niech więc to światło, Wielki Boże,
zakwitnie we mnie sadem,
a ciała mego pieśń jak w morze
w Twe cisze się zapadnie.

1982; 2011

Cień nad Równiną



O zmierzchu, 2006

Bóg, szatan, człowiek i Równina

Leszkowi Kołakowskiemu,
filozofowi smutku cywilizacji

*Rzekł wąż: „Na pewno nie umrzecie! Ale (...)
otworzą się wam oczy i tak jak Bóg będziecie
znali dobro i zło”*

Gen 3, 4–5

*Bóg rzekł: „Przeklęta niech będzie ziemia z twego
powodu”*

Gen 3, 17

*Przyszliśmy na świat nie po to, by ustanawiać,
lecz aby słuchać praw przeznaczenia i opatrności.*

Ps. Plutarch, Consol. Ad Apoll. III E

Część I

Inwokacja do śmiertelnych bogów

O, nędzni, śmiertelni bogowie
stwarzający na nowo świat,
niech się oczy wasze otworzą,
abyście ujrzeli,
że to on was ustawicznie stwarza,
jak kwiaty na bagnach zapala,
jak płomień złych roślin gasi.

Czegóż chcecie od niewinnych rzeczy,
które waszych rąk nie potrzebują?
Ich obrotów nie trzeba przyspieszać;
one jak przedpotopowe zwierzęta
całe w rytmie świętym zanurzone
spożywają pokarm przeznaczenia
w misach ziemi głęboko rozłożony.

Czy wy jeść tak potraficie godnie
z ręki Tego, który ziemię karmi
i oddechem podnosi ją co dzień
na wysokość najwyższego drzewa,
dokąd gwiazdy i węże się garną,
a ptak liścia tknąwszy w śpiew się zmienia?

Czy wy jeść tak, bogowie, potraficie,
by nie śmierć brać w swe ciała,
lecz życie?

Nie jesteście, o, śmieszni, od scalania,
wszystko pierzcha z rąk waszych i znika,
w beład odchodzi i niepamięć.
Idziecie ziemią pustych mitów,
złoto Midasa w snach was pali
jak dawno popełniony grzech.
Pamięć rozdziela was na dwoje —
jedno jest miłość, drugie śmierć.

O, bogowie, o, nędzni bogowie
stwarzający na nowo świat
od fundamentów pozoru
po ostatnią literę i słowo
nigdzie nie istniejącej mowy!
Jakiej głosem jesteście Potrzeby,
czyj to głód się w krwi waszej otwiera?

Część II

Równina

Oto śni ci się Wielka Równina.
(Może jest to Równina Prawdy,
a może tylko Równina Złudzenia).
Zza krawędzi Równiny wschodzi człowiek,
biegnie, upada, znów biegnie.
W poprzek przepływa rzeka,

którą cień drzewa łamie na krzyż.
Człowiek z trudem dociera do rzeki
i tonie.
Równina otwiera się na moment
nad nim i zamyka.
Wiatr zgina drzewo do ziemi,
wiatr niczego nie wyjaśnia.

Próbujesz zrozumieć wszystko od początku.
Ale oto słyszysz głos z własnego wnętrza,
który nie jest twoim głosem
i nie rozumiesz go, jak nie rozumiałeś
obrazu Wielkiej Równiny.
Wiesz tylko, że ten samotny człowiek,
który utonął w nierzeczywistej rzece,
to ty sam.

Woła cię gwiazda światłem,
ziemia jej odpowiada cieniem.
Ale ty nie jesteś światłem
i nie jesteś cieniem,
tylko wołaniem gwiazdy,
odповідzią ziemi;
ich zgody wiecznym zaprzeczeniem.

Pełno cię wszędzie i nigdzie cię nie ma,
jak byś się zmienił
w wielki ogień czystego milczenia.

Część III

Pomiędzy ciałem a Równiną

Kto rodzi twoje myśli we śnie?
Kto światło zsyła i głos?
A twój los na ekranie Równiny to skąd?

Wolno ci stawiać te i podobne pytania,
wolno wierzyć, że droga,
którą szedłeś we śnie,
nie jest jeszcze twoją ostatnią drogą.
Ale teraz możesz przypuszczać,
że Zły Duch rozległych przestrzeni snu
nie jest tylko wymysłem przewrotnych filozofów.
I być może rozumiesz także i to,
czegoś rozumieć nie powinien,
że Zły Duch jest naprawdę Dobrym Duchem.
Woła do ciebie z ciemnej strony świata:
stań się jako bogowie nieśmiertelny!

I ty jak Bóg się stajesz
pomiędzy cieniem a przedmiotem,
pomiędzy myślą a zmyśleniem,
między drogą a przeznaczeniem,
pomiędzy ciałem a Równiną.

Tam jesteś wiecznym świtem
i niekończącym się zachodem,
pochylony nad sobą
między tym, co widzisz,
a tym, co istnieje.
Między mową a Wielkim Deszczem.

Hodowco niemych zwierząt,
wiotki jak nigdy niewzeszła roślina,
mówiący a nie słyszany,
zasłuchany a nie słyszający
anioła grzmotu,
ani demona wulkanu,
ani żadnej litery, która w Słowie jest.
Zły Duch i Dobry Duch
mówią do ciebie ze wszystkich stron.

Pasterzem jesteś tej Równiny,
cieniem swym karmisz płochę trzody.
Równina wie o tobie wszystko.
Czym byłbyś bez jej zgody?
Otwiera się i zamyka
przed tobą i nad tobą.
Nierzeczywista rzeka
wpływa w twój rzeczywisty sen.
Pochyl się nad brzegami,
dotknij jej dobroczynnych wód!

Ty, który nie jesteś dniem,
ani nie jesteś nocą,
ani powietrzem, ni kamieniem,
ani żadną z rzeczy, które w tobie są,
ani z tych, które poza tobą.
Jesteś może węża zapatrzeniem
w gałąź snu, na której Bóg zostawił
słodkie jabłka — owoc zapomnienia.

1977; 1983

Cień nad Równiną

Kiedy umarłe ziarno woła do nas
z głębokości korzeni
szumem wiosennych liści
i ciągle dzień odrywa się od nocy
jak ptak od płonącego drzewa,
jakby nie tylko miłość,
lecz i gniew
rządził mądrością Prawa,

czuwaj uważnie,
bo objawione będzie nad ziemią
lustro równinnych wód —
sumienie świata.
I może wówczas
za zmiennym kształtem
swojego odbicia
odnajdziesz sól ciała
i krew swojej duszy —
ich ostateczny kształt,

tak jak dziś we wszystkich rzeczach
dostrzegasz tylko znaki
lecącego nad Równiną Cienia.

1983; 1990

Rozstajny dom

Bóg do Ciebie przychodzi i odchodzi,
a ty zostajesz jak otwarty
na rozstajach dom
czekający na przyjście gospodarza.
Wędrownie ptaki siadają
na wyiębłym kominie.
Niekiedy w biały dzień
powraca tutaj Bóg,
ale ty widzisz tylko
wędnące przy ścianie łopiany
i maleńkie punkciki skowronków
ulatujące do gwiazd.

Nadzieja przychodzi i odchodzi.
Nadzieja jest jak pełen Boga wiatr.

ok. 1990

Po coś Boże

Pamięci Profesora Leszka Kołakowskiego

Po coś, Boże, zapalił tyle gwiazd nade mną,
wszystkie zgasną, gdy umrę i odejdę w ciemność.
Twa rozrzutność gwiazdzista dla mnie niepojęta —
dla mizernego ciała taka ucztą święta?

Po coś, Boże, zasadził tyle drzew na ziemi,
dla mnie jedno wystarczy, co nie rodzi cienia
i rośnie tam, gdzie duch mój wypuszcza korzenie,
a z nich idzie pieśń ciała w czasy i przestrzenie.

Po coś, Boże, utworzył tyle ptaków polnych?
Moim polom by starczył jeden ptak, lecz wolny.
Moim lasom, co rosną w głębiach mego ciała,
wystarczy, aby wilga deszcz wyśpiewywała.

Gdybyś mnie był uczynił owadem w powietrzu,
może bytów nadmiaru tak bardzo bym nie czuł.
Zawieszony w nieważkiej eteru przestrzeni
czułbym się bardziej bratem, niżli wrogiem cieni.

I nigdy bym swym skrzydłem tak jak przeszłość kruchym
nie podważał niebiosów, by głos Twój wysłuchać.
I nigdy bym na Ciebie nie podnosił larum,
dlatego żeś mnie stworzył niedorzeczną marą.

Lecz istniałbym, jak we śnie istnieją pojawy,
przychodzą skąd nie wiedzieć, biją do bram jawy,
jawa przed nimi bytu otwiera podwoje,
a one dotykając, dzielą byt na dwoje.
I byt tak rozdzielony idzie na rozstaje,
gdzie zarówno trwa wiecznie, jak wiecznie powstaje.

Tak bym i ja się uczył na jawie i we śnie,
jak powstawać i ginąć, a istnieć równieśnie.
Lecz zrodzon z prochu ziemi do nieba wciąż wzlatam
jak wiatr nieświadom siły, która nim pomiata,
jak kometa, kosmosu błędząca ofiara,
w której wszystko spłonęło, został los i wiara.

Po coś, Boże, zapalił tyle gwiazd nade mną,
jasno było mi bez nich, a teraz jest ciemno.
I po coś mnie był wydał na świat z taką siłą,
przecież prościej, więc lepiej, gdyby mnie nie było.

Złożony z światła duszy i z ciała ciemności,
czemuż nie jestem, Boże, pewny Twojej miłości?

Czestków, 28 sierpnia 1994; Mława, sierpień 2009

W dzień przedostatni

Bóg wyrzucił w mrok wody słońca żarzący się kamień.
Kto do ciała należy światła, jeżeli ciało zagaśnie?

Zanim przestrzeń od krzyku w mroczną zatrzaśnie się kulę,
echo gwiazdy doleci w kręgi milczenia i bólu
i pociągnie me ciało w wir gęstniejących żywiołów,
tam gdzie drzewa kwitnące mrozy ścinają na ołów,
wyspy wznoszą skał skrzydła nad łąki o morze oparte,
wielka rzeka zastyga w daremnej modlitwie do słońca,
wiatr rozwiewa napisy z Księgi Pokory wydarte.

Duch mój z wiatrem się miesza, ciało czas w górze roztrąca,
Bóg je układa w jedność i czyta jak ciemną kartę.

1966; 1993

Nocne medytacje

I

Siedzę nocą w samym środku świata
w ciasnym pokoju z oknem na śmietnisko,
gdzie psy samotność swoją karmią kośćmi,
a z mroku bije blask miłosnych płaczów kota.
Czytałem Księgę Hioba i Pieśń nad Pieśniami,
słuchałem skargi kota, krzyku kobiety,
i bełkotu pijanego mężczyzny.

I nie pojąłem ani Hioba, ani Salomona,
nie pojąłem krzyku rozpaczy,
nie zrozumiałem głosu miłości,
nie usłyszałem, co mówił pijany mężczyzna.
Więc pomyślałem o Bogu,
lecz nie zrozumiałem swej myśli.
Fundament świata się poruszył
i szczur przemknął w mdławym świetle
ulicznej latarni.

II

Oto jestem pośrodku nocnego miasta,
którego los zapisano hieroglifami dymu
w wieczystych księgach wiatru
wiejącego od umierających wód.
I widzę śpiących i zmęczonych,
którym śnią się koszmary,
albo rajskie łąki.
I słyszę zmarłych,
którym nic się nie śni,
albo śni się wszystko:
że są powietrzem, ogniem i kamieniem,
deszczem i ulotnością wiatru
i ziemią, ziemią nieskończoną.

III

Trwam po środku świata
nad brzegiem wielkiego śmietniska,
gdzie bezdomne zwierzęta
ogryzają kości swoich braci
i walają się łupiny ludzkiego jadła.
Opodal przebiega cieśnina
między Bogiem a ziemią.
Brzegiem cieśniny spacerują ludzie
w szarych płaszczach, do których miłość
przychodziła zawsze za późno,
a śmierć za wcześniej,
jak gdyby to śmierć, a nie miłość
była środkiem wszechświata.

IV

Siedzę nocą w samym środku świata,
dożywotni dzierzawca swego ciała
z oknem oczu na ptaki zapytania,
nad brzegiem Boga, który jest
granicą myślenia i granicą istnienia,
linią mistyczną
przebijającą moją samotność,
dachem mojej bezdomności
i beznadziejnym pytaniem o to,
dlaczego deszcz i wilgotny wiatr,
co ziemi przynoszą pieśń o życiu,
nasze ciała zmywają na zawsze.
Fundament świata się poruszył
i szczur przemknął
w mdławym świetle ulicznej latarni.
Za ścianą dziecko zapłakało i zgasło,
kobieta przestała krzyczeć
z lęku czy miłości.
Wtedy pomyślałem,
że może środkiem wszechrzeczy jest miłość
idąca z ciał do podniosłych gwiazd,
którymi patrzy na nas
nieskończone Zwierzę Wszechświata.

1977

Labirynt

Żal mi ciebie, bracie mój (...)

2Sam 1,26

Ujrzałem we śnie pałac bez ścian,
przezroczysty gmach pełen sal i korytarzy —
geometrycznie doskonałych brył zamkniętych
i brył otwartych, dróg biegnących we wszystkie strony,
krzyżujących się prostopadle i skośnie,
pałac niewidzialny, ale tak bardzo rzeczywisty
jak sama myśl o nim i ciężar cierpienia,
które spada nagle w rzadkiej chwili szczęścia.

Szedłem w górę po niedotykalnych schodach,
aż sen mnie rozdzielił na dwoje.

I szedł koło mnie nieznajomy.
Wszedł pierwszy do otwartej celi w kształcie koła
i w posagowej zatrzymał się pozie.
Było to miejsce święte dostojeństwem Niewoli.

Koło — znak zwiastujący taniec Króla Labiryntu —
pochłonęło człowieka jak ciemna woda promień światła
i wybiło na powierzchnię jego postać.
Pośrodku koła stał pusty tron,
przy pustym tronie klęczał człowiek.
Zaczął się czas jego niewoli.

Tak los przedzielił nasze drogi
i wyznaczył każdemu swoje miejsce
po dwu stronach zamkniętej linii wolności.
Oto patrzę na więźnia — plecami odwraca się do mnie,
wznosi ręce i stopę podnosi jak Śiwa do tańca.
Ale tańca nie będzie, zwolna się stopa opuszcza
i składają się ręce po biodrach.

Oczu jego nie widzę.
Nie wiem, czy krzyczy w przestrzenie,
a może woła mnie, woła
i czeka, czeka, czy przyjdę.

Tymczasem ja ze współczuciem
i z lękiem podchodzę do koła,
którego nie mogę przekroczyć.
Ale współczucie się kończy
i rodzi się we mnie myśl jasna,
że jestem tu jego strażnikiem,
choć naprawdę pragnąłem,
aby go wyrwać z niewoli.

Stoimy przeto bezradni:
on — więzień oparty na tronie,
ja — strażnik przykuty do brzegu,
którego opuścić nie zdołam,
ani naruszyć mi dane.
I nie wiem, czemu jak Cerber
nieporuszony go strzegę.

Tak przeto idąc po schodach
niewidzialnego pałacu
znaleźliśmy obaj, co było
każdemu z nas przysądzone:
ułomną wolność strażnika
i dumną pokorę więźnia.

Wydawało się teraz, że miłość
może nas wkrótce połączy
i w całej prawdzie odsłoni
cierpienie jednego przed drugim.
Ale miłość, co rosła między nami,
coraz bardziej nas oddalała od siebie.
Czułem, jak Nieznajomy zamyka się w sobie,
a najmniejsze moje poruszenie
osadza go w głębi milczenia,

dalej, wciąż dalej ode mnie,
aż do kamiennego bezruchu posągu,
aż do rdzenia tego dostojęństwa,
które bije z twarzy tylko tych,
co powrócili z Krainy Śniegu i Mgły,
aby powiedzieć nam to,
czego i tak tu wiedzieć nie możemy,
co pozostanie tylko w poszumie wiatru
idącego zniecka od gór
przeciwno naszym słowom,
chceniom,
myślom.

O, Nieznajomy, widzę cię, jak się wynurzasz
z głębokości więziennego koła,
szpony i skrzydła ci rosną.
Niewola uwzniośla cię w ataku.
Zapłaty żadasz ode mnie, zapłaty.
A przecież kochałem cię, wspomnij.
Szedłem do ciebie z miłością, mój nieznajomy bracie.
Bacz, że każdy z nas tylko to otrzymuje,
co uprzednio mu było sądzone.
Wszak razem szliśmy po schodach
w tym labiryncie przezroczystym
jak mądrość geometrycznej figury,
lecz cóż mogłem uczynić, gdyś przeszedł
poza granice wolności. Zważ, bracie,
że moja wolność strażnika,
po stokroć jest tutaj trudniejsza,
od twej Majestatycznej Niewoli.
Ten bowiem, kto wydał wyrok,
nie pyta nikogo o winę.

Niewola twoja jest jak spokój
wolno krążących gwiazd,
jak wody monotonny szum,
gdy morze powraca do brzegów
i jest jak niestrudzone słońce,

które oświeca dobro i zło.
A ja tymczasem wyznać muszę,
że grzech mój, że wina jest wielka,
wielka, bo niemożliwa. Choć nie wiem,
skąd taka wiedza się rodzi we mnie,
gdy oto ty się do zemsty
jak ptak ogniopióry porywasz.

Pogódźmy się, Ptaku Ognisty,
pogódźmy, bracie nieznany.
W tym przezroczystym pałacu
ściany są nieprzenikalne bardziej,
niż w najciemniejszych warowniach.
Nie wiemy przecież, kto jest jego władcą.
Pamiętasz pusty tron pośrodku twojej celi?
Zamknięte koło celi
zwiastowało taniec Króla Labiryntu.
Ale tańca nie było i stopa twoja, czy Jego,
daremnie uniosła się, ręce opadły.
Może Król Labiryntu jest niewidzialnym demonem,
co nie oczyścił się z gniewu
i zło jego krąży po linii koła zamkniętej.
A może zamiast w taniec,
w ciebie, o, bracie się wcielił?

A może nie tak to wszystko.
Być może siedzi na tronie Milczący i Odwieczny
i w niewidzialnych dłoniach trzyma — Niewidzialny —
wszystkie nici, z których utkana jest
misterna geometria tego labiryntu.

Nie wykluczone, że obaj jesteśmy tylko linią,
nad którą czuwa Jeden-Jedyny-Punkt.
Wszak, gdy klęczałeś przed tronem,
przeżyłem chwilę pewności, że jestem tobą.
Może więc wówczas nasze punkty
zbiegły się w jedną prostą?
Któż może wiedzieć, mój drogi,

gdzie posyłają nas Niewidzialni
i jakie losy nam rają.

O, Nieznajomy,
człowieku, czy płomieniu żywego ognia,
którego jestem strażnikiem i sługą,
a którego niewola jest moją wolnością,
obyś tak w nieskończoność nieruchomiał i stygł
w każdym geście dla mnie niepojętym,
oby wiatr cię pochłonał i zgasił,
nim z głębokości swojej niewoli
jak Zły Król, jak Ptak Śmierci
wypłyniesz przeciwko mnie,
zanim Bóg litościwy otworzy mi powieki,
ze snu zbudzi i wyjaśni ten dziwny sen.

1973

Więzienie

Dnie nas mijają jak wędrownie ptaki,
powiewem wiosny muskają nam oczy.
Nasłuchujemy: kto przybył z Itaki,
za kim się kamień Syzyfowy toczy?

Przy kratkach rośnie mlecz i koniczyna,
przez brudne szyby pajak się przesuwa.
Skąd więc pochodzi ta przemian przyczyna,
która człowieka w słupek soli zakuwa?

Że oniemiały trwa i w ból się stacza
jak kropla rosy z łądygi na piasek;
gniew się otwiera przed nim głuchym płaczem,
a on nim idzie jak Dantejskim lasem.

I czuje: niebo przemija i ziemia,
drzwi się jak morze kołyszą w zawiasach.
Od murów ciągnie ogień przeznaczenia,
w żalu się wzmaga, w nadziei przygasa.

Więc tak patrzymy na niebo przez kraty
oczekujemy żon, matek i braci.
A idą do nas puste dni bez daty.
Niechaj się modli, kto nadzieję stracił.

Na ścianach leżą napisy i znaki —
miłości tkliwej z przekleństwem zmieszanie.
Nasłuchujemy: wygnani z Itaki
wznoszą do Boga Syzyfowy kamień.

30 maja 1984

Sen więzienny*

W snach biegniemy po łąkach i zrywamy kwiaty,
wielkie wzgórze powstaje w środku krajobrazu,
niebo w słońca koronie odsłania obrazy,
skąd błogość Rafaela spływa na nas światłem.

Oderwani od ciała, a jednak cieleśni,
pijemy owo światło, co zaległo ziemię,
unosimy się lekko w cisz odległych pełnię
jak w śniegu niesłyszalność stada ptaków leśnych.

I trwamy tak, jak góra trwa pośród wód czystych
unoszeni powiewem nie wiedzieć skąd rodem;
jak pająk rozpostarty pod niebem przejrzystym
wielki rozmiarem nieba, czujny własnym głodem.

Lecz oto zamek zgrzyta — spadamy ze świstem
w brudne ściany więzienia, z których wieje lodem.

31 maja 1984

* W poprzednich wydaniach tytuł wiersza brzmi: *Sonet więzienny*.

O samotności

Wtedy właśnie deszcz upadł, a w jego powrozy
okręcały się czarne od głodu kobiety;
mężczyźni odjeżdżali w pamięć Wielkim Wozem.
Tylko w górach ciemniała jak wybuch samotność.
I wtedy deszcz się zniżył i opłukał zorzę,
która z tam horyzontu zwolniona ruszyła
na śniegi zadymione sadzą czarnych lasów,
gdzie cienie rannych zwierząt zapach ściółki piją.

Ten pejzaż w nas dojrzewa o północy, kiedy
umarła matka ściera popiół z twarzy
i gładzi włosy syna; w bieli snów nieprzejrzaných
dzwonią z nieba na ciszę — znów ktoś spadnie w śniegi.

O, dzwony czarnych dębów! Nad polem wysoko
wznosi się dym gawronów — wypalają stawy.
Stąd morze niedaleko skryte w krzewach deszczu
pilnuje granic szumu polarnej muzyki.
Chwieje się gałąź nieba nad wodą schylona,
spadają mew owoce w bursztynowe gaje;
widzi matka śmiertelna cała w włosach syna,
jak morze płacz swój głuchy na brzegu zostawia.

Ale oto się obłok kolumnami deszczu
nisko schyla nad tobą i nie widzisz wody,
tylko wyrasta w tobie wielkie drzewo przeczuć,
że tak jak kamień zmienisz się w samotność.

ok. 1966

Lęk

Jest lęk
przed najczystszy sokiem winogron
przed najcięższym ziarnem,
które rozsadza kłosy,
przed nieświadomym swej mocy wzrastania
dobroczynnym drzewem.

Jest lęk,
gdy kobiety nagle
zaczynają rodzić
o północy lub w środku dnia,
a słońce ogromnieje na niebie
wśród dojrzałych owoców gwiazd.

Wtedy jest czas,
że z ciszy jaja
wykluwa się nowa ziemia
i niebo na nowo powstaje.

Owocują kobiety i grusze,
zimy powstają, lata się kruszą.
A w krwi owoców
jest zapowiedź lęku,
jak w świetle komet
wieść z innego świata.

1961; 1997

W jaskini Platona

Wchodzą powoli w pocielenie nocy,
gdzie błąd uśmiech i dzwonienie skrzydeł,
nerwowe łopotanie uwięzionych w ciszy.
Tu miejsce kaźni, cień zostaw za bramą.

Dzwonią w korytarz — zapadają wyjścia,
łopocą ściany (o, śmiech Filozofii!).
Stają i milczą, jakby Bóg ich wołał.
Trzymają ręce prostopadłe, sztywno,
lecz czyją litość zwiastują te dłonie?

Wołają długo, w wąwozach się ściemnia,
ostrzą źrenice i wbijają w ciemność,
aż dno zapada się głęboko w ciszę,
echo posłane do Boga nie wraca,
a oni idą, przystają i idą.

1962

Toledo w czasie burzy*

*Napiąć wieże, chmur żagle niech nas uniosą wysoko,
nim wypłynie nad miasto spód horyzontu jak powódź.
Bóg wyrzucił w mrok wody słońca tlejący się kamień.
Kto do ciała należy światła, jeżeli ciało zagaśnie?*

*Niebo w skrzydłach błyskawic zniża się szumem nad miastem,
bije głucho w zamknięte bramy szpitali i świątyni.
Ale w mrokach szpitala wszyscy ogłuchli i, ślepi,
klęczą w bólu jak rzeźby ryte w przydrożnym kamieniu.*

*Kościół pusty, i pusto echa się tłuką po ścianach,
tylko głodne zwierzęta modlą się tutaj do Boga.
Wół i osioł, i wielbłąd wołają: „Słowa miast siana!”
„Panie, ocal od śmierci!” — dzwoni lelija uboga.*

*Drzewa wznoszą korony, ażeby niebo powstrzymać,
które ciągnie w ulice falą wygasłych galaktyk,
cieniem płynie w ogrody wiejące kwiatami w miasto.
Co nam cienie zwiastują? Co ukrywają przed nami?*

*Oto miasto na dachach w trwodze się zrywa do lotu.
W stada domów stłoczonych, w kolumn żałobną procesję
wchodzi wiatr przeznaczenia od obcych posłany wyroków,
w ściany dudni słupami, popiołem sypie do okien.*

*Czemu miasto wlatujesz? Dokąd chcesz odejść? I w czyje
teraz bramy zastukasz? Jaki ci Bóg tam odpowie?
O co spytasz go, o co, jeżeli on już daleki
szumi pieśnią stworzenia w ciemnej jak śmierć twoja mowie?*

*Zanim przestrzeń od krzyku w mroczną zatrzaśnie się kulę,
echo gwiazdy doleci do połamanych już murów*

* Wiersz zainspirowany obrazem El Greco „Toledo w czasie burzy”; por. „Miasto wlatujące” s. 81 i „W dzień przedostatni” s. 67.

*i jak okręt pchnie miasto w wir gęstniejących żywiołów —
tam gdzie drzewa kwitnące mrozy ścinają na ołówek,
wyspom rosną skał skrzydła na łąkach o morze opartych,
gdzie kobieta w modlitwie próżnej do słońca usycha,
cichnie niebo wzburzone, Boga nie widać, nie słychać.*

ok. 1966

Miasto wlatujące

Niebo w skrzydłach błyskawic zniża się szumem nad miastem,
bije głucho w zamknięte bramy szpitali i świątyń.
Ale w mrokach szpitala wszyscy ogłuchli i ślepi
klęczą w bólu jak rzeźby ryte w przydrożnym kamieniu.

Drzewa wznoszą korony, ażeby niebo powstrzymać,
które ciągnie w ulice falą wygasłych galaktyk,
cieniem się leje w ogrody wiejące kwiatami w miasto.
Co nam cienie zwiastują? Co ukrywają przed nami?

Oto miasto na dachach w trwodze się zrywa do lotu.
W stada domów stłoczonych, w kolumn żałobną procesję
wchodzi wiatr przeznaczenia od obcych posłany wyroków,
w ściany dudni słupami, popiołem sypie do okien.

Czemu miasto wlatujesz? Dokąd chcesz odejść? I w czyje
teraz bramy zastukasz? Jaki ci Bóg tam odpowie?
O co spytasz go, o co, jeżeli on już daleko
szumi pieśnią stworzenia w ciemnej jak śmierć twoja mowie?

1966; 1993

Pochód

Idą, przystają, znów idą bez końca.
Wołają długo, lecz kogo wołają?
Wiatr głos unosi i w górze roztrąca,
Bóg płacze na dróg rozstaju.

Z wąwozów słońce odeszło i ciemno;
cichnie płacz Boga, gaśnie ślad człowieka.
Szukają gwiazdy dla zmęczonych oczu
jak niemowlęta matczyngo mleka.

Gwiazda się łukiem ponad niebem wznosi
i z drugiej strony horyzontu gaśnie.
Więc idą za nią w tego światła posiew,
które ich głosu Bogu nie rozjaśni.

1962; 1992

Tego wieczoru

Tego wieczoru ogień się palił
na włosach zbieleńskich poety.
Wilk się do swego odbicia żalił,
nad wodą płakały kobiety.

Tego wieczoru w królestwie omamień
na tron wstawiono zegar.
Z grobu umarłych wytaczali kamień,
wołali: ALFA! OMEGA!

1962; 1996

Eutanazja

Nadciąga chwila bezruchu.
Zastygłe jajo wszechrzeczy
nie zrodzi pisklęcia gwiazd.
I będzie wielka cisza
od wnętrza szła materii,
co zatrzymana w pędzie
zmieni się w zimny blask.

Grzech zginie w tym bezruchu,
miłość w kamienie wsiąknie.
W dolinach róż i węzów
umrze nieczczony duch.

Nad wodą schylone kobiety
na wieki zanurzą w niej dzbany.
A kwiat marmurem nasiąknie,
Trwać będzie w Oku widziany.

Wszystko zaprzeczy wszystkiemu,
nie pojedna się myśl z materią.
Oddzielnie, w mnogości i w różni,
obco, bez związku i siły
staną gołębie i próżnia,
planety — wiatry pustyni
w martwym świetle lasu geometrii.

Oko z Trójkąta wypadnie
jak idealna łza.
Znieruchomieje bezgłówna lawina
w wymarłych żywiołów znak.
Ciepłe wiatry ziemię ominą,
księżyc wyjdzie z zamarłych mórz
i rozsiejie śmiertelny mak.

16 stycznia 1967

Nienawiść

Stoimy nad wielką rzeką,
ty z tamtej strony, ja z tej,
z wymierzonymi na siebie strzałami.

Za nami pustynia, morze,
nad nami dzień, noc.

Nie odwrócę się, bo mnie zabijesz,
nie odwrócisz się, bo cię zabiję.

I trwamy tak od tysięcy lat
w nienawiści jak w miłosnym uścisku
nad wielką rzeką, która nas porywa.

1967

Ci, którzy umierali

Ci, którzy umierali z głodu i pragnienia,
głodem zabijają i pragnieniem.

Spaleni żywcem zmartwychwstali,
aby żywcem palić.

Ocaleni z koszmarnych snów,
synowie ognia, obłąkania,
krew z krwi, kość z kości
synowie śmierci
idą w ogrody śmierć posiewać.

To dzień pojednania, czy niepojętej miłości,
kiedy ofiara wstaje z prochu
wielbić kata dostojność,
przejmując jego nóż i obyczaje.

Rytuał uświęcony tradycją
jak dziesięć przykazań w kamieniu,
jak żółta gwiazda,
która raz Boga
a raz śmierć zwiastuje.

1967

Znów się wyłania ziemia

Znów się wyłania ziemia
z nienawiści i gniewu.
Siedem kłosów pożera
plon całego zasiewu.

Siedem krów z łąk zielonych
zjada krowy z mokradeł.
Leci niebem szarańcza,
spada chmurą na sady.

Znów zwierz zwierzowi zwierzem,
człowiek bliźniemu ością.
Bóg człowiekowi się zwierza,
że ogniem jest, nie miłością.

Morze od krwi Czerwone,
Nil toczą martwe fale.
Wiatr morzem tak jak dzwonem
kołysze w głuchym szale.

1967; 1997

Chrystus i miasto

Nanieśli krzyku w moje rany,
że aż żywica z nóg pociekła.
Mówili: zejdz stąd, ziemia znowu
zajęła się płomieniem piekła.

Zasiali krzyk ten na pagórkach,
gdzie ptaki rodzą tylko cień swój.
Co znaczą głosy ich zmienione,
ręce splecione w strach, czy miłość?

Wołają mnie nad brzegi ciemne
do rzeki, w której krew i wapno,
i ryby łaszą się daremnie
słońcu, co w czarnej wodzie zgasło.

Przez wypalone idę pola
z krzyżem złamanym przez ramiona
do miasta ociemniałych z trwogą,
czy krzyż mój stary wzrok im odda.

Miasto spalone się otwiera —
śpią sprawiedliwi cieniem w płytach;
nie rzeka — asfalt w zapomnienie
odpływa z krwią, za gardło chwyta.

Nad miastem ociemniałych — Chrystus,
tysiąc Erynii drze go w strzępy,
miasto Mu proch na rany sypie.
W modlitwie, gniewie i miłości,
w ślepej nadziei wznosi ręce.

1964

Człowiek i Bóg

Wiedli go na stracenie
zwyczajnie jak człowieka.
Niósł pokornie swój ogromny krzyż.
Potykał się co chwilę o ostre kamienie,
pluli mu w twarz,
mdlał i upadał.

Więc musiał upaść Bóg,
by powstał człowiek?

A może to był tylko żart?
Tragiczny żart Boga z człowieka,
jeden z tych, o których antyczni poeci
tyle mieli przez wieki do opowiedzenia,
że biblioteka w Aleksandrii
zamieniona w pustynię,
ogień ich słów do dziś
gasi na nieprzebranych falach Nilu,
który kołysze swoje brzegi spokojnie
jak obojętny wiatr
kołysał suknię nieszczęsnej Jokasty?

1967

c.d. niedostępny w wersji demonstracyjnej

Spis treści

Od autora / 5

PRZYMIERZE Z CZASEM

Więc czymże jestem? / 11
Śniący się motylom / 11
Cogito / 12
Blues o Wielkim Ptaku / 13
Do nienarodzonej / 14
Koło / 15
Wiatr od Boga / 16
Przed lustrem / 17
Ciało / 18
Rzeczy / 19
Matka / 20
Zagłada i pokuta / 21
Nadzieja / 21
Spotkanie z rzeką / 22
Pokora / 23
Czasami wiatr / 23
Rozmowa z samym sobą / 24
Wołanie jesieni / 24
Mowa / 25
Cisza / 26
Przymierze z czasem / 26
Głos / 27
Dom i świat / 27
Oaza / 28
Ta gwiazda / 29
Wielki wąż / 30
Leśne mieszkanie / 31
Nokturn / 32
Apokalipsa / 33
Aryman / 34
Potępiony / 35
Nicość / 36
I tak powstaje świat / 37
Starość / 38
Żale umierającego / 39
Mój Bóg / 40
Piosenka samotnego starca / 41
Do zmarłego przyjaciela / 42
Nad Baczyńskim / 43

Wiara i nadzieja / 44
Gdy smutne drzewo / 45
Ikona I / 46
Ikona II / 47
Modlitwa I / 48
Modlitwa II / 49
Medytacja o śnie i wodzie / 50
Powrót do koła / 51
Drzewo Życia / 52
Człowiek / 53
Ad Deum absconditum / 54

CIEŃ NAD RÓWNIĄ

Bóg, szatan, człowiek i Równina / 59
Cień nad Równiną / 64
Rozstajny dom / 65
Po coś Boże / 66
W dzień przedostatni / 67
Nocne medytacje / 68
Labirynt / 70
Więzienie / 75
Sen więzienny / 76
O samotności / 77
Lęk / 78
W jaskini Platona / 79
Toledo w czasie burzy / 80
Miasto wzlatujące / 81
Pochód / 82
Tęgo wieczoru / 82
Eutanazja / 83
Nienawiść / 84
Ci, którzy umierali / 85
Znów się wyłania ziemia / 86
Chrystus i miasto / 87
Człowiek i Bóg / 88

MORZE UTRACONE

Morze utracone / 91
Zima albo rozmowa z umarłą / 100
Hymn do Morza / 102
Pieśń do Słońca nad Morzem Martwym / 104

MIŁOŚĆ I CZAS

Erotyk / 107
Rozłączenie / 108
Gdzie uleciało tamto słońce / 109

Cienie / 110
Topola / 110
Wygności na wiatr / 111
Do Darii / 112
Pożegnanie / 113
Piosenka / 114
Gdziekolwiek / 115
Pusty dom / 116
Dlaczego umarła dziewczyna / 117
Dokąd uniosłaś dobry czas / 118
Siedem lat czekania / 119
O miłości / 120

ROZMOWA Z KRÓLOWĄ

Ogród / 125
Sad archaiczny / 126
Kraina zimna / 127
Wymarły ogród / 128
W gaju króla Midasa / 129
Dedal / 130
Edyp / 131
Szyf / 132
Opowiadanie Hera Armeniosa / 133
U wrót Hadesu / 134
Do Meduzy / 135
Rozmowa z królową / 136
Archeologia / 137
Cień nad Europą (Wschód – Zachód) / 138

GENEALOGIA

Dlaczego / 141
Wołanie ziemi / 142
Powrót na wieś / 143
Genealogia / 144
Dziecko / 145
Narodziny siostrzyczki / 146
Dzieciństwo / 147
Zapiski szpitalne / 148
Śmierć wieśniaka / 149
Elegia jesienna / 150
Opowieść jesienna / 152
Kosmiczna odyseja / 154
Baśń wigilijna / 155
Pieśń o domu / 156
We wsi naszej / 157
Spóźnieni do Arki / 158

Dzikie pole / 160
Piosenka jesienna / 162
Żniwa / 163
Słoneczniki / 164
Urzeczenie / 165
Drzewo drzew / 166
Do drzew / 167
Prośba do ziemi / 168

OPOWIEŚCI O ZWIERZĘTACH

Canoquebuculomachia / 171
Kocie smutki / 172
Obory zimą / 173
Opowieść o żurawiacz / 174
Wilk / 175
Opowieść o zwierzętach / 176
Zbuntowane żurawie / 177
Pieśń o żubrce / 178
Sielanka nadmorska / 179
Zwierzęta zodiakalne / 180
Las o brzasku / 181
Płonący las / 182
Ballada o zielonym smugu / 183
Medytacje nad życiem i śmiercią muchy domowej / 184
Człowiek i ważka / 185
Ptaki / 186

DWA GŁOSY STAMTAD

Adam zwany Kainem / 189
Franciszek zwany Rzetelnym / 190

DWIE OPOWIEŚCI

Opowieść o drodze / 195
Opowieść o żytniej wsi / 198

WIERSZE RÓŻNE

Do Profesora Leszka Kołakowskiego prośba o uśmiech kota / 203
Kot i gwiazdy / 204
Kot i pająk / 206
Być (fantazja lingwistyczno-ontologiczna) / 207
Bajka o samogłoskach / 208
Wielkie kąpiące się / 210
Na Dzień Imienin Krystyny właścicielki ogrodu przy ulicy Świbnieńskiej
przesyłając Jej kartkę ze słonecznikami Paula Gaugina / 211
Widziane we śnie / 212
Babcia i róże / 214
Oda panegiryczna do Afrodyty z Kutna / 215

SNY MI TEJ NOCY MÓWIŁY (Z RUMUŃSKIEJ POEZJI LUDOWEJ)

Dojna, dojna, śpiewka słodka / 219
Turkaweczko moja siwa / 220
Twój śmiech ziemię rozwesela / 220
Sny mi tej nocy mówiły / 221
Którędy ulatuje moja tęsknota / 221
Ej, chłopcze, słodki kwiecie / 222
Nasze kochania / 222

Z WIERSZY WCZESNYCH (1957–1961)

Pogodny wieczór letni / 225
Jesień / 226
Pory dnia / 227
Zimowa noc / 228
Już wieczór... / 229
Poezja / 229
Powrót z gwiazd / 230
Na brzegu / 231
Miłość i noc / 232
Do nocy jesiennej / 233
Nocny wiatr / 234
Nie budźcie mnie / 235
Spojrzenie wstecz / 236
Strumyk / 237
Człowiek / 237
Kabała / 238
W nocy / 239
Dlaczego milczy noc / 239
Dolina milczenia / 240
Modlitwa o lutnię z Czarnolasu / 240
Kiedy północ / 241
W ciszy / 241
Nawet gdy wiatr / 242
Wspomnienie / 242
Pogrzeb słowika / 243
W obitych mrokiem lustrach nocy / 244
Powrót / 244
Nic trwałego nie ma tu na świecie / 245
Nad jeziorkiem / 246
Ostatni walc / 247
Wiosenna burza / 248
Świat mnie wypełnia / 249
Równanie milczenia / 250
Widok z okna / 250
Podróż / 251
Przedświt / 251
Idę z chaosu / 252

Demiurg / 253
Ekran życia / 253
Ballada o liniach / 254
Prosiłaś mnie o wierszyk / 255
Czemu? / 255
Moja geometria / 256
Być drzewem / 257
Puszcza / 257
Święci / 258
Choroba / 259
Czas i wieczność / 259
Po zachodzie słońca / 260
Ludzie podróżni / 261
Awaria przemijania / 262

ESEJE

Poeta wobec Tajemnicy, czyli o naturze poezji / 265
O ciszy / 273
O czasie / 275
O cierpieniu metafizycznym / 280
Notatka metafizyczna / 290
Dwie nieskończoności / 292
Pochwała tajemnicy / 293
Odtrącone dzieci Całości / 296
Podwójne samobójstwo człowieka / 298
Poeta a filozof / 299
Poezja i sny / 305
Poezja i szaleństwo. Refleksje nad *Dziennikiem* Edwarda Stachury / 313
Wspomnienie o Przyjacielu (Mowa nad grobem artysty Bronisława Wolanina) / 320

Nota biograficzna / 325

Głosy o poezji Kazimierza Świągockiego / 327

Alfabetyczny wykaz utworów / 339

Kazimierz Świągocki (ur. 1943), poeta i eseista, absolwent polonistyki (UŁ) i filozofii (UW), doktor habilitowany nauk humanistycznych. Wykładał filozofię i literaturę na kilku wyższych uczelniach. Autor siedmiu tomików wierszy i licznych prac (w tym pięciu książek) o literaturze XIX i XX wieku. Obecnie profesor Akademii Humanistyczno-Ekonomicznej w Łodzi.

Leszek Kołakowski – filozof, eseista

Jest Pan najoczywistej poetą metafizycznym, mistrzem słowa polskiego. (...) Odkrywać nowe, piękne i mądre obszary nieznaną dotąd poezji jest zawsze wielkim darem.

Helena Karwacka – historyk literatury

[Kazimierz Świągocki] poeta-filozof jedyny w swoim rodzaju, poeta niezwyklej formatu i głębi, kontynuator świetnych tradycji polskiej poezji filozoficznej, metafizycznej, podejmujący w swej twórczości najistotniejsze problemy egzystencjalne. (...) We współczesnej twórczości miejsce tej zdumiewająco pięknej i głębokiej, o unikalnej wartości poezji jest jedyne w swoim rodzaju.

Marian Filipiak – bibliista, filozof

Niemal w każdym wierszu tego poety i filozofa odnajduję coś z Biblii (...) szczególnie zaś odnajduję w niej atmosferę Koheleta – jego nienasycenie, pasję poznawania spraw człowieczych, smutek, nieraz tragizm. [Poezji tej] nie sposób czytać w spokoju ducha; nie sposób uniknąć owego napięcia, jakie stwarza nieustanne zmaganie się między światłem i ciemnością, wiarą i zwątpieniem, Złem i Dobrem, Niebem i Ziemią.

Antoni Czyż – historyk i teoretyk literatury

Szczególna obrazowość, intensywność plastyczna tej twórczości są uderzające. Są to *obrazy mentalne*, budujące *wizję wewnętrzną*. Wyraziste są *tła tej poezji* (...) późno Słowacki, Leśmian, a bardziej jeszcze Tadeusz Miciński (...), Mikołaj Sep-Szarzyński, Sebastian Grabowiecki, jako antenaci owych pytań podstawowych o rzeczy, podmiot i Boga ujętych jako pytania ontologiczne. W tej więzi z wielogłosową tradycją mówienia o istnieniu (...) Kazimierz Świągocki idzie własną ścieżką – wybitnych artystycznie – dociekań podstawowych.

Ziemowit Skibiński – poeta, krytyk

Jeżeli przez poezję będziemy rozumieć jedność plastyki i muzyki podporządkowaną ontologicznemu namysłowi i uobecnianiu tajemnicy, to wiersze Świągockiego zbliżają się do ideału.

Jan Bolesław Ożóg – poeta, eseista, współtwórca teorii autentyzmu

Takich złotników z mistrzowską znajomością rzemiosła na miarę Benvenuto Celliniego bardzo nam brak.



WYDAWNICTWO
AKADEMII HUMANISTYCZNO-EKONOMICZNEJ
W ŁODZI

